Pierwszymi ukaranymi byli Polacy

MIKOŁAJ IWANOW

Za rok – 11 sierpnia 2017 r. – przypada 80. rocznica rozpoczęcia przez NKWD ludobójczej akcji skierowanej przeciwko Polakom mieszkającym w ZSRR. Z tego powodu rok 2017 ma zostać ustanowiony rokiem „operacji polskiej". Chyba tytułowe „zapomniane ludobójstwo" z pana niedawnej książki powoli przestaje być zapomniane...

Już moja pierwsza książka o „operacji polskiej" wydana 20 lat temu miała podtytuł „zapomniane ludobójstwo". Rok temu wydałem nową książkę i tytuł mówił to samo... Przez ten czas nic się nie zmieniło. Mam nadzieję, że nowy rząd, nowe władze pomogą nam naprawić te wieloletnie zaniedbania. Od lat głoszę, że Polacy byli chronologicznie pierwszym ukaranym narodem. Również skala prześladowań Polaków w okresie „wielkiego terroru" nie ma precedensu, nawet na tle innych krwawych eksperymentów Stalina. Bo do 1937 roku mordowano przeważnie według podziałów klasowych, nie narodowych. W 1937 roku w ZSRR mieszkało milion dwieście tysięcy Polaków. Podczas „operacji polskiej" zamordowano co najmniej 200 tys. z nich. To tak, jakby w dzisiejszej Polsce zamordowano co drugiego dorosłego mężczyznę. Zginęło dziesięć razy więcej ludzi niż w Katyniu, praktycznie dokładnie tylu, ilu w Powstaniu Warszawskim. A ilu zginęło Białorusinów i Ukraińców mających polskobrzmiące nazwiska, to nawet trudno policzyć. Oni ginęli jako Polacy. Podczas przesłuchania pytano ich: „dlaczego przez tyle lat ukrywał pan swoją polskość?". Nikt nie szukał rzeczywistych agentów, po prostu na Kremlu zapadła decyzja, że rusza maszyna terroru, że do rozpętania fali strachu i nienawiści najlepszymi ofiarami będą Polacy. Terror stał się podstawowym narzędziem władzy Stalina. Wszystkie leninowskie gadania o tzw. demokracji socjalistycznej zostały odrzucone jako niepotrzebny liberalizm.

A wcześniejszy Wielki Głód nie był wymierzony w Ukraińców?

Jako że spowodowała go kolektywizacja, to był zjawiskiem ogólnosowieckim. Z głodu umierali również Niemcy nadwołżańscy, Kozacy z Kubania, Białorusini i Polacy z Żytomierszczyzny. Taka sama polityka była prowadzona na Białorusi, ale to fakt, że Ukraińcy byli najgorzej przystosowani do tak wielkiego głodu. Mieszkając na stepie, nie mogli, jak choćby Białorusini, pójść do lasu i poszukać jagód czy grzybów. To było ludobójstwo, nie mam co do tego wątpliwości, ale kwestie etniczne nie miały wtedy znaczenia. Natomiast w sierpniu 1937 roku chodziło wyłącznie o Polaków. Później, wykorzystując doświadczenia z Polakami, przeprowadzono inne operacje narodowościowe: niemiecką, rumuńską, nawet tzw. mandżurską, ale ich skali nie da się w żadnym wypadku porównać ze skałą ludobójstwa „operacji polskiej". Skoro od lat gazety ostrzegały, że kapitalistyczna Polska szykuje się do wojny, to mało kogo zaskoczyło, że nagle wykryto w ZSRR 100 tys. polskich szpiegów. Starałem się do głębi zbadać ten temat. Wyszło mi, że takich szpiegów mogło być najwyżej... kilkudziesięciu. Spora różnica, prawda? Stalin jednak wierzył, że mszcząc Polaków i zastraszając cały kraj, ułatwia sobie autorytarne rządzenie. Później niszczono także i inne narodowości, ale to Polacy jako pierwsi zostali ukarani. W przypadku innych nie było już nawet specjalnych rozkazów. NKWD informowano jedynie, by wobec kolejnych narodów podejmować działania według rozkazu nr 00485 z 11 sierpnia 1937 roku o „operacji polskiej".

Rozkaz fen mówił, by wymordować 200 tysięcy Polaków?

Stalin może nie planował zabić aż 200 tysięcy, ale jak tylko maszyna terroru zaczęła się rozkręcać, to poszło już samo. W Mińsku dowódca NKWD dostawał wytyczne: w ciągu

miesiąca aresztować 10 tys. Polaków. I są dokumenty potwierdzające, jak to robił. Otóż brał książkę telefoniczną, później meldunkową i szukał polskich nazwisk. Stanisław Szuszkiewicz, były prezydent Białorusi, opowiadał mi, jak to wyglądało w jego rodzinie. Jego ojciec był Białorusinem, a matka Polką, zresztą poetką. Ojciec bronił się na przesłuchaniu, że nie jest Polakiem. Ale sam fakt, że miał żonę Polkę, wystarczył, by go skazano. To była prawdziwa rzeź Polaków. Kiedyś na Ukrainie, w miasteczku Dołbysz (przed wojną Marchlewsk, na cześć Juliana Marchlewskiego), które nadal jest w większości zamieszkane przez Polaków, na schodach kościoła katolickiego ksiądz proboszcz przedstawił mi Helenę Trybel, matkę ówczesnego premiera Ukrainy Jurija Jechanurowa. Ona była dzieckiem ofiar „operacji polskiej". Opowiadała mi, że jej ojciec pewnego razu wrócił z pracy i powiedział do całej rodziny: „Już nie jesteśmy Polakami. Żebym ani słowa nie usłyszał już po polsku". Ukrywanie polskości jednak ich nie uratowało. Zginął i jej ojciec, i brat. Pani Trybel powiedziała mi rzecz znamienną: być Polakiem w 1937 roku w Związku Sowieckim było tym samym, co być Żydem w III Rzeszy. I wcale nie przesadziła. To rzeczywiście było ludobójstwo na niespotykaną skalę.

Dlaczego poświęcił pan swe zawodowe życie akurat „operacji polskiej"?

Urodziłem się w Brześciu nad Bugiem, w centrum przedwojennej Rzeczypospolitej. Wychowała mnie rosyjska szkoła, wpajająca sowiecką świadomość. 40 lat temu przyjechałem do Polski i do dziś wciąż nie mogę się nadziwić, jak bardzo Polacy dbają o pamięć historyczną i mogiły swoich przodków. Gdy pierwszy raz odwiedziłem Polskę, 1 listopada trafiłem na cmentarz. Nie mogłem zrozumieć, co tam się dzieje... Prawdopodobnie w żadnym innym kraju nie ma tak zadbanych cmentarzy. Teraz, po 40 latach życia w Polsce, nie mogę zrozumieć czegoś innego: jak to możliwe, że naród, który z tak ogromnym szacunkiem odnosi się do swoich przodków, jednocześnie kompletnie zapomniał o swoich rodakach pomordowanych w 1937 roku w ZSRR. Czyżby dzisiejsi Polacy nadal pozostawali więźniami propagandy komunistycznej, która twierdziła, że za Bugiem nie ma Polaków, są jedynie spolonizowani Białorusini, Litwini i Ukraińcy?...

Chyba tak do końca nie jest. Przecież kłamstwo o Katyniu także próbowano nam wmawiać przez cały PRL, ale nie uwierzyliśmy.

O Katyniu Polacy pamiętają, bo każdy oficer, który został tam zastrzelony, miał dzieci żyjące w Polsce. Takim dzieckiem był choćby Andrzej Wajda. To była inteligencja, której w Toronto czy pod Londynem stawiano pomniki. Przypadek „operacji polskiej" jest inny. Nie dość, że rodziny pomordowanych Polaków żyły poza Polską, to jeszcze były koszmarnie zastraszane przez władze. W Związku Sowieckim każdy nosił w sobie strach. Ten strach wpoiła mi także moja matka, nie żartuję. Każdy, kto wychował się w ZSRR, dalej ma w sobie ten strach. Dlatego ta sprawa nie trafiła w ręce naukowców, ludzi odpowiedzialnych za kształtowanie pamięci zbiorowej Polaków, nie było komu upominać się o te ofiary. Zresztą chłop spod Żytomierza to nie profesor z Krakowa. Ale czy krew polskiego chłopa spod Żytomierza, który był oddany polskości, wierze katolickiej, dla którego Warszawa była jak ikona, ma mniejszą wartość niż krew oficera zastrzelonego w Katyniu? A można powiedzieć, że to kłamstwo było dziesięciokrotnie większe, bo w Katyniu zginęło 20 tys. Polaków, a w „operacji polskiej" 200 tys. Dla mnie to również były polskie elity. Większość tych Polaków uważała, że wcześniej czy później Polska wróci do swoich historycznych granic. Oni od pokoleń mieszkali na tych terenach, wierzyli, że niebawem będzie kolejna wojna i polskie wojska na pewno ich wyzwolą. Komuniści jednak postanowili ich wykorzystać, by zdestabilizować II Rzeczpospolitą.

W jaki sposób?

Zacznijmy od początku. Pochodzący z Polski komuniści Feliks Dzierżyński, Julian Marchlewski i Feliks Kon zdecydowali jeszcze wraz z Leninem, że Polakom mieszkającym w rodzącym się Związku Radzieckim trzeba dać tyle wolności, by uwierzyli w komunizm. Założono, że skoro władza sowiecka pokaże im łagodną twarz, Polacy wcześniej czy później staną się gorliwymi komunistami i będzie można ich wykorzystać przeciwko Rzeczypospolitej. Na przykład w Żytomierzu, gdzie wcześniej rosyjska władza niszczyła polskość i powtarzała Polakom, że im szybciej się zrusyfikują, tym będzie dla nich lepiej, teraz przyszli komuniści i... wysłali dzieci do polskiej szkoły. Uczyli w niej, oczywiście, komunistycznej propagandy, ale ważne, że po polsku! Mówiono o Mickiewiczu, choć o Sienkiewiczu już nie, bo on, oczywiście, był przedstawicielem Polski faszystowskiej! Ale to i tak były na tyle dobre szkoły, że rodzice będący innej narodowości chcieli do nich posyłać swoje dzieci i 40 proc. uczniów nie było Polakami. Te szkoły miały najlepsze zaopatrzenie, jedzenie na przerwach (a były to czasy głodu). Były tam najlepsze podręczniki i najlepsi nauczyciele.

Jak to zmieniło życie polskiej społeczności?

Dzieci nagle zaczęty uczyć własnych rodziców języka polskiego. Komuniści stworzyli na Ukrainie pseudorepublikę, którą nazwali Dzierżyńszczyzną, a na Białorusi powołali Marchlewszczyznę. Wielką swobodę zostawili nie tylko samym Polakom, ale nawet polskiemu Kościołowi katolickiemu chwilowo odpuścili. Watykan zresztą aktywnie pomagał w walce z głodem w latach 1921-1922. Pamiętajmy, że sowieckie gazety cały czas pisały, że II Rzeczpospolita to więzienie narodów, że prześladuje się tam mniejszości etniczne. A tu, proszę, w Związku Sowieckim Polaków traktowano wręcz wzorowo!

Po co to wszystko?

By pokazać obywatelom IIRP, Białorusinom i Ukraińcom, że warto przyłączyć się do Sowietów. Doszło nawet do tego, że NKWD Marchlewszczyzny i Dzierżyńszczyzny przesłuchiwało aresztowanych Polaków... w języku polskim! Miejscowi Polacy bardzo chętnie zaakceptowali polskie szkoły, kościoły, teatry i kina. Jednak gdy rozpoczęto kolektywizację, okazało się, że nie ma takich sukcesów, jakie opisywali w swych sprawozdaniach do KC WKP(b) polscy komuniści. Polacy niechętnie zapisywali się do kołchozów. Cenili władzę sowiecką za autonomię, ale cały czas byli wierni polskości. Komunizm zaakceptowali powierzchownie, ale nie dopuścili go do swoich dusz. Przyszedł rok 1935, Związek Sowiecki szykował się do starcia ze światem kapitalistycznym, a Stanisław Kosior, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Ukrainy, pokazywał Stalinowi, że na mapie kolektywizacji Dzierżyńszczyzną i Marchlewszczyzna to biały plamy. Wtedy Stalin doszedł do wniosku, że z Polaków nie da się uczynić lojalnej mniejszości, że zawsze będzie to swoista piąta kolumna. Co więcej, wydawało się, że w razie wojny Polacy nie tylko nie wesprą Moskwy, ale staną po stronie II Rzeczypospolitej. Tym bardziej że NKWD donosiło, iż ok. 5 proc. Polaków zamieszkałych w ZSRR służyło w polskiej armii podczas wojny 1920 roku.

Stalin postanowił więc ich wymordować?

Najpierw podjął decyzję, by wysiedlić Polaków z Żytomierszczyzny i innych rejonów Ukrainy do Kazachstanu. W tym czasie jeszcze robiono to dość spokojnie, więc każdej rodzinie pozwolono wziąć ze sobą krowy, owce i zapasy ziarna. Na miejsce Polaków przesiedlono przodowników pracy np. z Charkowa i lojalnych kołchoźników ze wschodu, którzy w razie wojny gwarantowali, że będą wsparciem dla Armii Czerwonej. Granica z Rzecząpospolitą ze strategicznego punktu widzenia była dużym problemem dla Stalina. Dlatego Polskę

w propagandzie sowieckiej nazywano awangardą światowego kapitalizmu. W każdej gazecie straszono, że Polacy szykują się do agresji na ZSRR. Na terenach postsowieckich w wyobrażeniu ludzi starszego pokolenia, takich jak moja mama, słowa faszyzm, faszysta kojarzą się przede wszystkim z Polską. Wszędzie mówiono i pisano o faszystowskiej Polsce, i to dużo częściej niż o faszystowskich Niemczech. Dlatego w 1937 roku Stalin doszedł do wniosku, że wymordowanie Polaków będzie idealnym straszakiem.

Jakim straszakiem?

Takim, dzięki któremu Stalin będzie mógł rozpętać terror. Wcześniej w podobnej roli występowali arystokraci i burżuje, zabijani w czasach czerwonego terroru za Lenina. Później to byli kułacy. Aby rozpętać wielki terror, Stalin wpadł na pomysł, by wymordować Polaków. I to nie był głupi pomysł, bo rzeczywiście wymordowanie Polaków spowodowało zastraszenie narodów sowieckich. Dzisiejsi staliniści twierdzą, że Stalin dobrze zrobił, mordując Polaków. Gdyby nie „operacja polska" – mówią – to nie wygralibyśmy II wojny światowej. Naprawdę, słyszałem takie opinie! W sierpniu 1937 roku NKWD zaczęła więc mordować Polaków. Komuniści popełniali swoje zbrodnie, drobiazgowo je dokumentując. Każdy z rozstrzelanych ma swoją teczkę, to wszystko gdzieś leży. Niestety, jak na razie te materiały nie zostały należycie zbadane, a jedyny pomnik, symboliczny krzyż brzozowy, który postawiono ofiarom, stoi na cmentarzu w tym przedwojennym Marchlewsku. Jest na nim napis: „Wszystkim tym, którzy nie mają swoich mogił na terenie wielkiej Rosji".

Był pan jednym z pierwszych, którzy tym tematem się zajęli. Kiedy to było?

Przyjechałem na początku lat 80. do Polski wygłosić wykład o historii mniejszości narodowych w ZSRR. Na Uniwersytecie Wrocławskim opowiadałem o Żydach, Białorusinach, a tu nagle profesor Wojciech Wrzesiński mnie pyta, co z Polakami, dlaczego nic nie mówię o polskiej mniejszości w Związku Sowieckim? Było mi trochę wstyd, że nic nie wiedziałem na temat Polaków. Gdy wróciłem do Mińska, od razu poszedłem do archiwum, zacząłem szperać. Temat wydał mi się arcyciekawy. Przejrzałem stare gazety, zobaczyłem, jak prężnie kwitła tam polskość, jak wielu mieszkało Polaków. Tylko pozostawało wzbudzające niepokój pytanie: co się stało z Marchlewszczyzną i cała tą niezwykle rozbudowaną autonomią polską? Dlaczego nie ma po niej śladu? Dlaczego jest to tematem tabu dla badaczy, również polskich?

Książkę „Pierwszy naród ukarany: Polacy w Związku Radzieckim w latach 1921-1939" zaczął pisać pan jeszcze w czasach komunizmu. Nie miał pan wątpliwości, że warto tak ryzykować?

Mieszkałem już w Polsce. Miała to być o języku polskim, który kiedyś prężnie kwitł na terenach białoruskich, o 30 gazetach polskich tam wydawanych, o dwóch polskich teatrach. Drążyłem temat, bo wciąż brakowało mi odpowiedzi na pytanie, co się stało po 1937 roku z tą prężnie działającą społecznością. Domyślałem się tego, ale dopiero w 1984 roku, gdy zacząłem pracować w polskich archiwach, zdobyłem dowody. Określenie „naród ukarany" zapożyczyłem od Aleksandra Sołżenicyna, który jako pierwszy bardzo ostrożnie – na podstawie rozmów z polskimi więźniami Gułagu – przypuszczał, że pierwszymi ukaranymi byli Polacy. Gdy pierwszy raz to przeczytałem, zastanawiałem, dlaczego on tak napisał, o co właściwie mu chodziło... I dokładnie tę sprawę zbadałem. Teraz mamy już dokumenty NKWD, listy rozstrzelanych, protokoły przesłuchań, prace nie tylko moje, ale kilku innych badaczy, Henryka Strońskiego, Tomasza Sommera, Juliana Winnickiego, ale wciąż o tej zbrodni mało się mówi.

Został pan przewodniczącym Rady Fundacji Rodacy ’37, powołanej niedawno przez historyka i publicystę Piotra Zychowicza. To autor kontrowersyjnych książek historycznych, który na poważnie zadaje niepoprawne pytania, jak choćby to, czy może nie warto było iść wraz z Hitlerem na Rosję. Nie przeszkadza to panu?

Piotr jest teraz w Rosji podobnie niemile widziany jak ja (śmiech). Ale mówiąc poważnie, naprawdę go często cytują i przedstawiają w Moskwie jako wielkiego wroga Rosji. Pewnie i sam Putin już wie, kim jest Zychowicz.

Dla mnie jest on jednym z najbardziej skutecznych propagatorów nauki. Czytałem jego książki i są naprawdę świetnie napisane. Nie stawia on prostackich tez, tylko poważnie rozpatruje każdą możliwość. Nie mam wątpliwości, że to świetny i niezależny historyk. Powtarzam mu, by napisał w końcu bestseller o „operacji polskiej”.

Dlaczego więc założył fundację, a za książkę się nie wziął?

Nie wiem, nie znałem go jeszcze trzy miesiące temu. Ale w książce „Pakt Ribbentrop-Beck” obszernie cytował moje książki. Wiem, że od co najmniej dziesięciu lat zajmuje się „operacją polską” i śledzi moją pracę. Jest jednym z niewielu polskich historyków, którzy naprawdę znają się na tym temacie.

I czym będzie zajmowała się wasza fundacja?

Powstała po to, by przywrócić pamięć o „operacji polskiej”. Chcemy, by w Polsce wszyscy wiedzieli, co się stało z ich rodakami w 1937 roku. Przez cały PRL Polacy zza Zbrucza w ogóle nie istnieli. Ale i po upadku komuny przez te dwadzieścia kilka lat w tej sprawie nie zrobiono właściwie nic. Marzyłbym sobie, byśmy przygotowali ciekawą wystawę, którą powieli się w dziesięciu tysiącach kopii i postawi w każdym gimnazjum. Niech młodzież, biegnąc korytarzem, na chwilę chociaż rzuci okiem na te zdjęcia. Niech zapadnie im w głowie hasło Dalsze Kresy, niech zobaczą, jak wybitni Polacy stamtąd pochodzą. Niech zrozumieją, że ofiara krwi Polaków Kresowiaków nie poszła na marne, że ich ślad w historii polskiej pozostał na zawsze.

Niedawno opublikowano badania, które mówią, że polscy gimnazjaliści nic o Polakach na Wschodzie nie wiedzą. Myślą, że to jacyś prawosławni „Ruscy”. W każdym razie polska młodzież nie uważa, że to w ogóle są Polacy.

A my chcemy im pokazać, że ci niby „Ruscy” oddali życie za polskość. Tak, oni często nawet nie znali języka polskiego. Tak, często nie mieli możliwości kultywowania polskich tradycji. Ale we wrogim otoczeniu zachowali oni polskość, nigdy się jej nie wyrzekli. Niestety, wygląda na to, że dzisiejsza Polska zapomniała o Polakach na Wschodzie, o ich tragicznych doświadczeniach. Zresztą żal można mieć nie tylko do państwa, bo przyznam szczerze, że Kościół katolicki na Ukrainie i Białorusi też ostatnio zbyt łaskawy dla Polaków nie jest. Coraz silniejszy staje się tam trend ukrainizacji i białorutenizacji tamtejszych katolików. A to przecież Kościół przez lata był ostoją polskości na tych terenach. Chciałbym, by dano nam choć jedną stronę w podręcznikach do historii. Dziś w żadnym podręczniku nie ma choćby jednej wzmianki o „operacji polskiej”. Świadomość narodu naprawdę można zmienić. Jeszcze niedawno nikt w Rosji nie wiedział, czym był Katyń. A po katastrofie smoleńskiej co trzeci Rosjanin wie, co dokładnie stało się w Katyniu. Nie wiem, dlaczego Putin się na to zgodził, ale państwowa telewizja dwukrotnie w czasie największej oglądalności pokazała film Andrzeja Wajdy. A Rosjanie, cokolwiek by o nich mówić, to naród, który po swych tragicznych doświadczeniach wieku XX potrafi współczuć. Po emisji tego filmu rano pod ambasadą polską pojawiało się mnóstwo kwiatów! Gdyby udało nam się zainteresować kogoś

z filmowców problemem „operacji polskiej”, może i o niej by dowiedział się świat. Ale może uda nam się chociaż jakiś komiks zrobić, coś, co zainteresuje ludzi?

To nie będzie przypadkiem kolejna drażliwa kwestia w stosunkach polsko-rosyjskich?

Nikt nie ma zamiaru dzielić naszych narodów. W końcu Rosjanie wycierpieli nie mniej niż Polacy. Sam Sołżenicyn pisał, że rewolucja bolszewicka była złamaniem kręgosłupa narodu rosyjskiego. Nie da się zbudować przyszłych przyjaznych stosunków z Rosją na kłamstwie i zapomnieniu.

Kim pan się teraz czuje, Polakiem czy Rosjaninem?

Mój ojciec był Rosjaninem, matka pół Polką, pół Białorusinką. Urodziłem się i wychowałem na Białorusi. Najkrócej mówiąc, czuję się po prostu Kresowiakiem... Gdy jadę do Moskwy, palcem mnie wytykają, że jestem tym Ruskim, który zaprzedał duszę Polakom. Dlatego chyba nikomu nie jest tak trudno pracować w rosyjskich archiwach jak mnie. Od lat mam ciągle problemy, by wydać tam książkę. Znajomi mi doradzają, bym wydał pod pseudonimem, bo na moje nazwisko służby reagują jak byk na czerwoną płachtę.

Pytam, bo w naszej rozmowie, mówiąc o Polakach, mówi pan „my”. A o Rosjanach?

Też „my”, mam takie rozdwojenie narodowe... Być Ruskiem w Polsce nie jest łatwo. Pamiętam, jak przyszedł do mnie kiedyś starszy syn Tomasz i poprosił, byśmy przestali rozmawiać po rosyjsku, bo jest mu trochę głupio przed ludźmi. Ale gdy miał już lat 18, przyszedł znowu i poprosił, bym wynajął mu nauczyciela rosyjskiego, bo chciałby podszkolić język. A więc on też jest trochę rozdwojony.

A pan nigdy nie krępował się w Polsce pokazywania swojej rosyjskości?

Był taki okres, że rzeczywiście trochę się krępowałem. Nawet rozważałem zmianę nazwiska na to, które nosi moja żona Polka. Ale zrozumiałem w końcu, że nie da się zrezygnować z własnej tożsamości. Zauważyłem też, że zdarza mi się czasem przesadzać w podkreślaniu mojej polskości, jakbym był neofitą. Wygłaszałem czasem poglądy bardziej nacjonalistyczne niż sami Polacy. Ale uważam, że to normalne. Ja po prostu cały czas nad tą swoją tożsamością – i polską, i rosyjską – dużo myślę. Dziś staram się obie podkreślać na każdym kroku, nie wstydzę się swojej rosyjskości. Mieszkam w Obornikach Śląskich, to niezbyt duża miejscowość. Czasem wpadają do mnie znajomi. A Polacy, jak trochę popiją, mają to do siebie, że zaczynają śpiewać po rosyjsku. I potem chodzą plotki po Obornikach, że u Iwanowa zbiera się rosyjska mafia (śmiech)...

—rozmawiał Michał Płociński

Mikołaj Iwanow jest polsko-rosyjskim historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Opolskiego, członkiem komitetu honorowego przygotowującego obchody przypadającej za rok 80. rocznicy rozpoczęcia przez NKWD ludobójczej „operacji polskiej” skierowanej przeciwko Polakom mieszkającym w ZSRR. W latach 80. był członkiem Solidarności Walczącej Kornela Morawieckiego, redaktorem działu wschodniego podziemnego „Biuletynu Dolnośląskiego”

„Rzeczpospolita”, 20-21 sierpnia 2016